

Urodziłam się w Lublinie. (...) Tu się urodziłam i tutaj umrę...

Urodziłam się w Lublinie. Mieszkałam przy ulicy Konopnickiej z matką, ojcem i młodszą siostrą. Ojciec mój był lekarzem, pochodził z Warszawy. Matka zajmowała się domem. Była niezwykle dzielną i mądra, kochałam ją i szanowałam bardziej niż innych członków rodziny.

Siostra we wrześniu 1939 r. skończyła dziesięć lat i miała zacząć trzeci oddział szkoły powszechnej. Ja natomiast ukończyłam studia medyczne i w sierpniu rozpoczęłam pracę jako lekarz stomatolog w jednej z lubelskich przychodni.

W 1937 r. poznałam mojego przyszłego męża, Rolanda Waisberga, który kończył właśnie studia medyczne. Pobraliśmy się w sierpniu 1939 r.

Pamiętam doskonale lato 1939 r. Byłam bardzo szczęśliwą młodą mężatką, pełną optymizmu i wiary w cudowną przyszłość. Jednak wszystko to mąciły wieści o wiszącej nad krajem groźbie wojny, znacznie gorszej niż ostatnia, strasznej przede wszystkim dla nas, dla narodu żydowskiego. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić, ale przytłaczające uczucie lęku nie dawało mi spokoju. Bałam się czegoś niejasno i czekałam na zaprzeczenie z ust matki i męża. Ciężki nastrój w mieście, na ulicach grupki ludzi zatroskanych, rozmawiających nerwowo o wydarzeniach politycznych, o wiadomościach radiowych. Nie wróżyło to nic dobrego. Zdecydowaliśmy się jednak oboje z mężem na wyjazd pod Warszawę do znajomych, którzy mieli tam duży letniskowy dom. Do Lublina mieliśmy wrócić w pierwszym tygodniu września. Złe przeczucie jednak stało się rzeczywistością. Wojna wybuchła. Nie mogliśmy wrócić do rodziny. Posypały się bomby, nieszczęścia, śmierć. W pierwsze dni oblężenia Warszawy podczas nieustannych nalotów, zbiegaliśmy na dół do sieni. Tuląc się do siebie nasłuchiwaliliśmy złowrogiego warkotu, modliliśmy się, błagając Boga o ratunek. W wielkie, religijne święto żydowskie Jom-Kippur hitlerowcy ze szczególną siłą i precyzją bombardowali dzielnice żydowskie. Nasz dom spalił się. Na dworze widno było jak w dzień, pożarów nikt nie gasił. Uciekliśmy z płonącego domu, biorąc z sobą wszystko, co można było unieść w rękę, przedarliśmy się do sąsiedniego domu. Tam schowaliśmy się w zatłoczonej piwnicy. Panował tu straszliwy zaduch, oddychało się z trudem, ale nie słyszało się przynajmniej tak wyraźnie huku bomb i warkotu samolotów. Już to wydawało mi się szczęściem. Żałowaliśmy naszej decyzji o wyjeździe z Lublina, gdyby można było cofnąć czas.

Kolumny niemieckich wojsk maszerowały przez płonące jeszcze zburzone miasto. Hitlerowcy wyciągali z tłumu Żydów i bili ich straszliwie. Widziałam tych cierpiących ludzi i cały czas prześladowała mnie zmora bezradności i rozpacz wobec męki moich najbliższych, a uczucie to bywało zwykle o wiele gorsze od własnego cierpienia. Mieszkaliśmy na strychu u ludzi, którzy narażając własne życie ukrywali nas, Żydów. Ryzykowali, chociaż wiedzieli, że za przechowywanie nas czeka ich śmierć. Były to trzy kobiety z dzieckiem. Mąż jednej z nich zginął na początku wojny, została sama z małą córeczką Agnieszka, ze swoją matką i starszą siostrą. Z Zosią bardzo szybko zaprzyjaźniłyśmy się. Była to bardzo dzielna i odważna kobieta. Pomagała nam jak tylko mogła, a my siedzieliśmy w ukryciu nie mogąc nic w zamian dla niej zrobić. Czasami, zwykle w nocy wraz z mężem opatrywaliśmy rannych, którzy trafiali niby przez przypadek do domu Zosi, który zawsze i dla wszystkich stał otworem.

Tak minęły dwa lata, w głodzie, zimnie i w panicznym strachu. Co dalej? Jak długo wytrzymamy? Nie miałam żadnych wiadomości od rodziny. Nie wiedziałam, czy żyją i co się z nimi dzieje. Pod koniec lipca 1942 r. wszędzie na słupach rozlepiano plakaty obwieszczające w języku polskim i niemieckim, że wszyscy Żydzi mają być przesiedleni na Wschód i że tam będą pracować. Ale my wiedzieliśmy jaka była prawda. Włożyliśmy na siebie wszystkie rzeczy, które uznaliśmy za najlepsze z posiadanych, oraz ciepłą odzież na wypadek, gdyby nas złapano i wywieziono na Wschód. Tak tkwiliśmy na strychu w oczekiwaniu, z nadzieją na lepsze jutro, albo na najgorsze.

Któregoś wieczora, nagle, przez maleńką szparkę na strychu zobaczyliśmy nadciągających hitlerowców. Kilku z nich zbliżało się do naszego domu. Poczułam, jak ktoś pośpiesznie wepchnął do nas dwoje dzieci. Złapaliśmy je szybko i ukryliśmy się wszyscy wśród tobołów z pościelą, połamanymi gratami. Siedzieliśmy z zapartym tchem. Łapacze biegali po schodach, wywalali drzwi, krzyczeli, śmiali się, strzelali, od czasu do czasu któryś wpadł na strych, przeklinał, mijał toboły, pod którymi byliśmy schowani i szukał dalej. W pewnym momencie dwóch zatrzymało się tuż obok. Rozmawiali. Najmniejszy ruch, sapnięcie, głośniejszy oddech i jesteśmy zgubieni. Starłam się wcale nie oddychać. Siedzące nade mną dzieci - jedno miało cztery lata, drugie pięć - robiły siusiu, na pewno ze strachu. Mocz ściekał mi na głowę, na twarz. A ja prawie tego nie czułam. Drżałam tylko na myśl, że dzieci mogą mimo woli zdradzić kryjówkę. Rozplakać się na ciasnocie. Hitlerowcy odeszli. My tak jeszcze pięć godzin przesiedzieliśmy w bezruchu.

Wszystko ucichło, ludzie powoli zaczęli wylazić ze swych nor schowków. My czekaliśmy spokojnie na przyście Zosi czy kogokolwiek. Ale nikt się nie pojawiał, a czas mijał. Ogarnęły nas najgorsze przeczucia: może Je zebrano? Przyszła wreszcie Zosia. Okazało się, że wzięli je na przesłuchanie i że cudem uniknęła śmierci. Jak wróciła padłyśmy sobie w ramiona, a ja nie mogłam

się powstrzymać od rozpaczliwego płaczu, który targał całym moim ciałem. Miałam wyrzuty sumienia, że ratując nas Żydów mogła sama zginąć zostawiając osierocone dziecko.

Przeżycie to stale powracało, powracało, mimo upływu lat, do dzisiaj ten obraz stoi mi przed oczami. Dalsze lata wojny to trudny do opisanego koszmar. Przez cały czas próbowaliśmy wrócić do rodzinnego Lublina, jednak bezskutecznie. Najgorsze do przetrwania były zimy i silne mrozy. Walczyliśmy z chorobami. Nieraz mdlałam z głodu i z wycieńczenia. Ale w końcu spotkało nas to, od czego uciekaliśmy przez tyle długich miesięcy i lat, to, co przeszli nasi krewni i znajomi, oraz setki tysięcy nieznajomych Żydów. Nadeszła nasza kolej...

Pamiętam, że znaleźliśmy się w bydlęcym wagonie, takim w jakim zwykle wywozili hitlerowcy Żydów z Umschlagplatzu. Wagon przepelniony był po brzegi. Można tu było tylko stać. Fakt, że oboje z mężem dostaliśmy się do tego samego wagonu, uważaliśmy za niezwykle szczęście! Pociąg posuwał się bardzo powoli, czasami stawał, czasami zawracał - wszystko po to, by zwiększyć, przedłużyć nasze cierpienia, po to, by jak najwięcej osób podusiło się w wagonach! Ludzie mdleli, deptali po sobie, wrzeszczeli, modlili się. Gdy padali ze zmęczenia, rozgniatano ich na śmierć. Na podłodze wagonu układały się warstwy trupów. Jedna z moich współpasażerek próbowała ucieczki przez okienko.

Nagle uprzytomniłam sobie dokąd nas wiozą i upadłam. Upadłam na stos ciał żywych, półżywych i martwych. Nie czułam już bólu ani gorąca, ani pragnienia, ani lęku. Ostatkiem sił wydobyłam się na powierzchnię. Poczulałam zapach powietrza, znalazłam się blisko okienka. Późną nocą dojechaliśmy do Lublina, do którego przez te wszystkie lata chciałam wrócić, a całą moją nadzieję na powrót dawno już pogrzebałam. Pociąg stanął. Esesmani otworzyli wagony i zaczęli wypędzać z nich brutalnie tych wszystkich, którzy jeszcze żyli i mogli się poruszać. Mżył deszcz. Trzymaliśmy się z mężem mocno za ręce, żeby się nie zgubić pośród ludzkich krzyków, lamentów, bieżących. Pamiętam, że gorąco się modliłam. Tak bardzo chciałam tu zostać, żywa lub martwa. I nagle poczułam jak ktoś mnie mocno pociągnął do tyłu. Wylądowaliśmy w olbrzymim rowie całym wypełnionym gęstym błotem.

Leżeliśmy tak, wydawało się, że całą wieczność. Ze strachu nie próbowaliśmy się nawet poruszyć. Usłyszałam wrzask esesmanów, strzelaninę, krzyki ludzi rozpaczliwe i przeszywające ciemność. Potem wszystko ucichło. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że jest już zupełnie widno. Nagle z mgły wyłoniła się postać mężczyzny. To właśnie On, Pan Janek Stawski uratował nas od pewnej śmierci i zaopiekował się nami do końca wojny. Nie miałam bowiem do kogo wracać. Rodzice i siostra zostali rozstrzelani w 1943 roku. Strasznie przeżyłam śmierć najbliższych. Byłam jednak szczęśliwa, że żyję, że jestem z powrotem w moim ukochanym Lublinie.

Po wojnie w 1945 r. zamieszkaliśmy w sąsiedniej kamienicy. W rok później urodziłam córeczkę, której daliśmy na imię Elwira. Jednak prześladowania nas, Żydów nie skończyły się wraz z zakończeniem wojny. W roku 1957 musieliśmy wyjechać do Izraela. Tam zaczęliśmy życie od początku. Było ciężko, klimat prawie nie do zniesienia. Po śmierci męża, z dorosłą już córką wróciłam z powrotem do Polski, do Lublina. Jestem pewna, że już teraz nikt mnie stąd nie wygoni. Tu się urodziłam i tutaj umrę...